

Ruch Muzyczny
Warszawa, ul. Senatorska 13/15

wydanie

22 16 — 30 -11-73

Nr z dn.



Lucja Kącka (Norina) i Edward Kmiciewicz (Don Pasquale)

Fot. P. Barącz

Opera Kameralna gra Donizettiego

JÓZEF KĄSKI

Dobrze zaczęła swój nowy sezon Warszawska Opera Kameralna. Po raz pierwszy bowiem w toku działalności pod obecnym szyldem teatr ten wyszedł z zakłętęgo kręgu „odświeżających” przeróbek zapomnianych a blących przeważnie pozycji z peryferii operowego repertuaru bądź pierwocin ojczystej twórczości i sięgnął śmiało po popularne dzieło ze światowej literatury. Ta ryzykowna nieco próba powiodła się ponad spodziewanie i *Don Pasquale* Donizettiego w wykonaniu zespołu Opery Kameralnej może z pewnością liczyć na powodzenie. Gdy idzie o włoską operę z epoki romantycznego belcanta, to sukces zależy przede wszystkim od śpiewaków. I tutaj właśnie prawdziwą rewelacją stała się nieznana dotąd w Warszawie młoda sopranistka z Wybrzeża Lucja Kącka, odtwarzająca partię figlarnej Noriny. Posiada ona nie tylko wartościowy głos o ładnej barwie i rozległej skali, sięgającej swobodnie do trzykreślnego „es” i nawet „f” (w zakończeniu popisowej arii z I aktu), ale także dobrą już koloraturową technikę i — co bodaj jeszcze ważniejsze, a w każdym razie dziś zdecydowanie rzadsze — wirtuozowski temperament i blask, jakim ongiś podbijały słuchaczy słynne „soprani di bravura”. Jeżeli talent jej rozwijać się będzie dalej a praca nad techniką nie ustanie, to być może ujrzymy w niedługim czasie operową śpiewaczkę rzeczywiście wysokiej klasy...

Partię Doktora Malatesty bardzo dobrze na ogół śpiewał utalentowany baryton Feliks Gałeczki (szkoda, że jego arię w I akcie skrócono o połowę bez wyraźnej przyczyny), a młodego Ernesta — Zdzisław Nikodem, postaciowo znacznie lepszy niż swego czasu na dużej scenie Opery Warszawskiej. W tytułowej roli bardzo dobrą, wyrazistą i pełną komizmu postać dał Edward Kmiciewicz, jak-

kolwiek nie był akurat w najlepszej formie głosowej. Niewielki zespół orkiestrowy grał bardzo ładnie pod dyktando Jerzego Michalaka. Tak więc od strony muzyczno-wokalne przedstawienie przyniosło nam niemałą satysfakcję.

Scenografia Andrzeja Sadowskiego — pomysły i niebrzydka, choć może zanadto przeładowana nie zawsze niezbędnymi rekwizytami. Jitka Stokalska jako reżyser w kilku scenach błysnęła godną uznania inwencją i sprawnością, ale niestety zdążyła już snadź ulec fatalnej manierze, rozkrzewionej zwłaszcza w telewizji, a nakazującej wszystkie puste rzekomo i statyczne momenty wypełniać — pantomimą. Kiedy więc niema trójka służących strojąc dziwaczne miny i gesty przysłuchuje się efektownym pasażom kończącym arię Noriny, jest to nawet dość zabawne. Kiedy jednak to samo, z dodatkiem fikania koziołków, powtarza się pod koniec duetu Noriny z Doktorem i kiedy orientujemy się, że to samo powtarzać się będzie we wszystkich niemal co bardziej efektownych fragmentach opery (zakończenia poszczególnych „numerów”) — rzecz przestaje nas bawić, a zaczyna nużyć i wreszcie denerwować. Jeden z moich kolegów po piórze wyraził już pogląd, iż jest to maniera wymyślona przez głuchych i do głuchych adresowana; ma z pewnością rację — ale na co w ogóle głuchym opera?

Można by jeszcze wytknąć bezsensowne chwilaми uruchamianie rekwizytów (fotel, poduszka), brak smaku widoczny we wprowadzeniu karykaturalnych postaci gondolierów do czysto już romantycznego (a nie komicznego) duetu Noriny i Ernesta, czy bardzo niefortunny skrót w finale II aktu — ale to już nie tak istotne, skoro w sumie Warszawska Opera Kameralna odniosła niewątpliwie sukces.